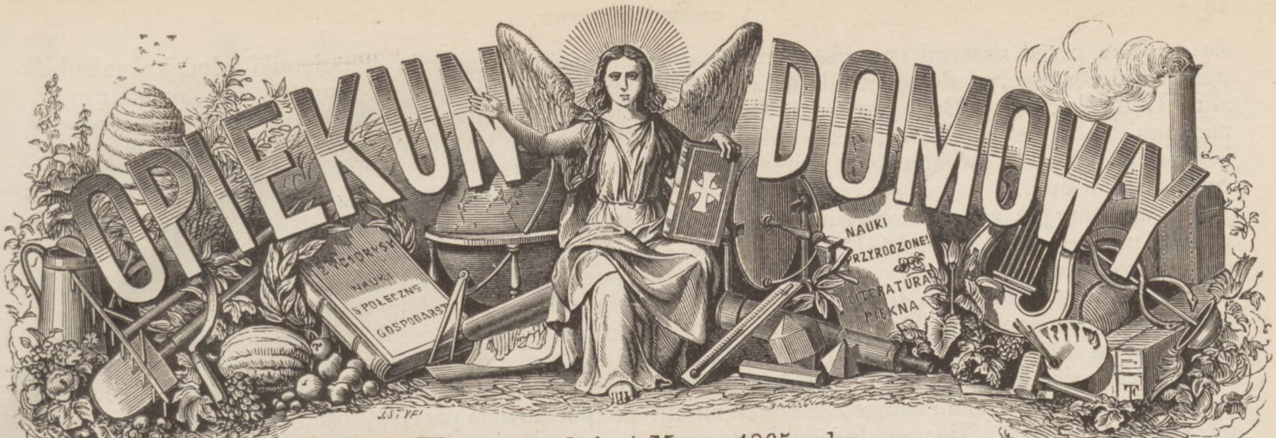



Warszawa dnia 1 Marca 1865 roku.

Nr 9. | Cena w Warszawie 40 groszy miesięcznie. — Cena na prowincji na stacjach pocztowych 5 złotych kwartalnie. | Rok I.



(Rysował Gerson—wyciął na drzewie Walter).

## ZOFJA KAPLIŃSKA.

Oto macie przed sobą wizerunek dziewicy, któréj serce gorącą pałało miłością dla bliźnich, zwłaszcza dla prostaczków, dla ludu. Rysów nadobnych, pełna wiadomości i powierzchownéj ogłady, nie rzuciła się w burzliwe tonie świata, by tam szukać dla siebie hołdów i powodzenia, lecz owszem cichéj poświęcała się pracy i tą jedynie była zajęta myślą, ażeby wrodzone zdolności i nabytą naukę, na pożytek ogółu obrócić. I ten kwiat wiośniany, co taką woń—tyle wdzięków w około siebie rozlewał, zaległ już ścięty ręką nielitościwéj śmierci. Mój Boże, a tyle chwastu się pleni po bujnéj niwie świata, co tylko pożywne soki wypija bez żadnego pożytku dla siebie i dla drugich; rozpierają się jego krzewy chyba dla tego, ażeby w jadowitych uściskach zdławić skromne roślinki. Ale ukorzmy się przed wyrokami Boskiemi, które

się codzień przed naszemi oczami spełniają, a zawsze są niezbadane, niedostępne dla naszego umysłu. Wszystko, co od Boga pochodzi, mądrze i ku naszemu dobru jest urządzone, tak że my w dobréj i złéj doli z równem uwielbieniem święte Jego imię czcić powinniśmy.

Opowiedzmy już żywot naszéj zmarłéj. Zofja Kaplińska urodziła się w roku 1831 w Warszawie. Do roku 14-go przebyła na wsi, w majętności rodziców, którzy, a mianowicie ojciec, trudnili się jéj ukształceniem. Tam to, w obec pięknéj natury, przy czułem i wrażliwem usposobieniu, swobodnie rozwijało się serce i pięło się ku czystemu niebu, gdzie u źródła piękna i prawdy otrzymało namaszczenie na niedługą niestety przyszłość. Nie utonęło jednak ono w marzeniach, nie rozpieściło się i nie zmiękło do zbytku, bo rozum ojca stał na straży i ostrzegał o niebezpieczeństwie; zaprawiając swe uwagi słodyczą, przyzwyczajał do zamiłowania prawdy saméj w sobie, rozumie się w granicach w jakich je serce dziecinne—niewieście pojmować zdołało. To wychowanie odbiło się w późniejszych pismach Zofji. Nie znajdziesz tam mdłych sentymentów, które nie tylko niezasycą umysłu, ale go łatwo spaczyć, w stan chorobliwy wprowadzić mogą; za to tchnie z nich czysta prawda, owiana nieporównanym wdziękiem i na wskróś przejęta miłością chrześciańską.

Z powodu śmierci ojca zmuszoną była, wraz z matką i rodzeństwem, przenieść się do Warszawy, gdzie przez kilka lat poświęciwszy się naukom, szczególniéj historji i literaturze, zajęła się zaraz uczeniem drugich. Tu się roztworzyło pole do działalności jéj umysłu i serca. Nie była to istota bierna, poprzestająca na tem, co jest pod ręką, chociaż liche, byle nie wytężać sił swoich, wolejących gnuśnieć w bezczynności. Ś. p. Zofja, widząc brak, nie chciała łudzić innych i siebie pozorami; nie szczędziła pracy i usilności, ażeby ten brak zastąpić, przeszkody usunąć, przez które inni przeskakiwać wolą i tym sposobem utorować drogę, leżącą dotąd odłogiem. Wszystkie jéj prace tą jedynie natchnione były myślą; nie powodowały niemi zysk ani sława skromnych żądań, mogła poprzestać na dochodach mozolnemi lekcjami zbieranych, a których prace tak zwane literackie, to jest artykuły do pism perjodycznych i oddzielne książki, o wiele przysporzyć nie mogły. Nie szukała oklasków i sławy, bo o jéj utworach, chociaż dość licznych, ale pod któremi nie było podpisane nazwisko, świat się po większéj części dopiero po jéj zgonie dowiedział. O, bo niektórych ludzi ożywia tajemnicza siła, która ich stale prowadzi do jednego celu. Szczęśliwy, kto ten cel zawczasu przejrzy, kto się tym popędom nie oprze: odpowie on swemu *powołaniu*: a wielka to łaska nieba, skoro kogo do oddzielnych powołuje czynów, by się stał pociechą bliźnich i przyświecał im na drogach żywota. Nie można tego świętego głosu tłumić w sobie, bo z talentów naszych przyjdzie kiedyś zdać sprawę przed potomnością i Bogiem.

Odbiegliśmy nieco od naszego przedmiotu, szczęśliwi zkądinąd, że nam nasunął myśli, wychodzące poza obręb powszednich. Tak to, zajęcie wyższym przedmiotem przedniejsze też wydaje owoce. Nie wiele zresztą mamy dodać do naszego życiorysu. Powiemy chyba, że ś. p. Zofja Kaplińska napisała naprzód dwie książeczki, które wyszły w latach 1853 i 1859, pod napisem: „Książeczka dla dzieci chrześcijańskich" i „Rozrywki w dni świąteczne." W parę lat późniéj napisała „Pamiętniki młodéj ziemianki," na tle wiośnianych dziecinnych wspomnień osnute, które w wyjątkach drukowała „Kronika wiadomości krajowych i zagranicznych" w r. 1860. Kilka lat była stałą współpracowniczką „Czytelni Niedzielnéj," gdzie umieszczała prócz powiastek ludowych, żywoty świętych i życiorysy sławnych ludzi. Kilka jéj utworów znakomitéj zawsze wartości rozrzuconych jest w „Tygodniku Illustrowanym," w „Kolendzie dla dzieci polskich" i w Gwiazdce z roku 1863. Niektóre już po śmierci w Tygodniku Illustrowanym i Kalendarzu ludowym wydane zostały. W tym ostatnim zamieszczona powiastka, z powszechnem współczuciem przyjętą została. Zresztą wiele jéj prac pozostało jeszcze w rękopismach, i wraz z innemi cieszymy się nadzieją, że rodzina zmarłéj poda je wkrótce do wiadomości powszechnéj, a przez to rozweseli zapewnie w niebiańskich sferach jéj ducha, który przez cały pobyt na ziemi, pragnął tylko być pożytecznym dla ogółu. A takie pisma, jak ś. p. Zofji, kogoż nauczyć nie mogą, skoro wszystkie nacechowane są nieprzesadzoną pobożnością, silnem poczuciem potrzeby kształcenia ludu, a nareszcie chwytającą za serce prostotą i serdeczną miłością ludzi. Kto pod takiem pracuje godłem, ten może być pewny, że przekona tłumy, pociągnie je za sobą, i chociaż zdala wskaże wyraźny cel życia naszego, dążenie do którego już od nas samych, jako wolną obdarzonych wolą, zależeć będzie.

Wytężona praca przy wątłem zdrowiu, po rocznéj blizko słabości, położyła kres doczesnemu życiu ś. p. Zofji Kaplińskiéj, dnia 13 kwietnia 1864 roku; zwłoki jéj spoczęły na powązkowskim cmentarzu, ale wspomnienie o niéj długo nam przyświecać będzie.

## BOGI DOMOWE.

Starożytni Grecy i Rzymianie, w wnętrzach marmurowych domów swoich, czcili i chowali bogi domowe zwane penatami; żadne ognisko nie obyło się bez tych opiekunów życia familijnego, bez téj starszyzny, przewodniczącéj na ucztach i w sprawach codziennych. Z prochów całéj sztucznéj, a tajemnéj budowy nauki, zwanéj mitologją, która jak każde dzieło sztuki, runąć musiała zczasem, zostały nam tylko połamane kolumny i posągi, porwane pieśni i splątane wyobrażenia. Pamięć jednak tych bóstw opiekuńczych, tleje jakąś piękniejszą, moralniejszą iskrą, jakąś myślą podwyższającą godność rodzinnego przybytku, a jeżlić starożytni w ciemnościach bałwochwalstwa umieli ściągnąć pod swoje strzechy owych nadziemskich gości, o ileż słuszniéj, o ileż prawdopodobniéj, aby chrześcijańska rodzina miała swoje bogi domowe.

Chrześcijańska rodzina! cóż szczytniejszego nad ten wyraz święty, podniesiony religijnem i rzewnem wspomnieniem Jezusa, Marji i Józefa. Jest to jeden zdrój krwi bratniéj, rozlanéj w kilka serc, bijących dla wspólnego celu czci Boga, miłości bliźniego i wzajemnego szczęścia; jest to najczystszy zawiązek społeczeństwa, najbliższy sercu świat, kącik najstaranniéj ogrzany, z którego jak z bryły słońca snuć się mają promienie wszelkiego ciepła, ożywiającego społeczeństwo. Ognisko domowe! to ołtarz czci wewnętrznéj, kadzielnica cnót cichych; a starszyzna domowa, to arka przechowawcza wszystkich świętych przykazań. Ojciec i matka mają klucz od tych

tablic i otwierają je dzieciom codziennym przykładem; oni także mają klucze od drzwi swego domostwa, które mogą być gościnne lub niezdobyte wedle ich woli. Nikt tam nie wejdzie bez ich zezwolenia — oni tam panami; tylko członkowie rodziny mają przystęp otwarty — obcy się nie wedrze, chyba wstąpi zaproszony. „Szron i ranna rosa, jak mówi angielski myśliciel, deszcz zimny i kroplisty— dostaną się pod strzechę domową; sąsiad uprzejmy, ubogi żebrak, w noc dżdżystą spoczną u jéj komina, ale nikt doń nie wejdzie, wejść nie może bez wezwania samych gospodarzy.”

Pośród burz społecznych, życie rodzinne ostało się niewzruszone w swych prawach; jest ono jeszcze królowaniem, jakiego nas patryarchowie nauczyli; próg domowy to linja, odgraniczająca od wpływów świata; tam ojciec i matka rządzić zawsze mogą po Bogu i po tradycji; nikt z ich skroni nie zdoła zedrzeć rodzicielskiéj korony, nadającéj im władzę wlewania miłości, cnoty i obowiązków w serca synów i córek. Nikt nie może postawić się pomiędzy ojcem a dziecięciem, między posłuszeństwem syna a powagą rodzica; nauki dawane w tem szczupłem kole, zawsze dzielnie przysługiwać będą do przechowania w ludach wielkiego charakteru religijnego i obywatelskiego.

W takim to odwiecznym i niewzruszonym przybytku rodziny, poszukajmy bogów domowych, aby im się pokłonić z głębokości serc naszych, i oddać im w opiekę rozrzucone nasze strzechy.

Eneasz, chcąc z gruzów pogańskiéj Troi [1]) ocalić poświęcone penaty, starego ojca wraz z niemi unosił na barkach, dążąc na odpływające okręta. Eneasz miał religijne natchnienie w tym razie. Tak jest — stary ojciec jest prawdziwym bogiem domowym.

Srebrny wieniec siwizny świeci nad jego skronią, jak promień doświadczenia, zasługi, nauki i rady; kiedy on mówi, wszyscy słuchają; młodź przez niego zagląda w przeszłość i widzi w nim jedno z ogniw, na którem naznaczono stólecie narodu.

On jeden zapamięta dawne rzeczy i ma przez to moc sądzenia nowych. Ramię jego podparciem małżonki.... Młodsze pokolenie jak bluszcz oplata się u stóp jego, podnosząc oczy ku skroniom ojcowskim. Jemu przynależy chleb łamać z rodziną, błogosławić w dni świąteczne i przechodniom mówić: wejdź, lub nie wchodź w moje progi. Zbliżanie się jego rozprasza płochość młodzieży i nastraja ją do poważnych myśli, podobnie jak cichną skrzypki skocznéj gawiedzi, kiedy u furty kościelnéj zabrzmią uroczyste hymny. Drżące jego kroki zdają się mówić dziarskiéj czeredzie:

— Taką będziesz!

W schylonéj jego postaci, jest przeszłość czterech pór życia ludzkiego: każde jego słowo jest radą, każda myśl nauką, każde westchnienie wspomnieniem, każdy uśmiech nadzieją wiecznéj chwały.

Przeszedłszy burze ziemskiéj pielgrzymki, zdobył on wielką wyrozumiałość; pojmuje on zabawkę dziecięcia i zapał młodzieniaszka; umie wmieszać się w gromadę weselną i z uśmiechem pobłażania patrzyć na pustotę pacholąt. A jeśli kiedy, pod natłokiem wielkich i bolesnych wspomnień, nie może już zrozumieć wyrastającego z pod jego stóp młodszego świata, jeśli wrzawa i gwar ludzi brzmią mu jak nieznana muzyka, wówczas, usunąwszy się samotnie pod ganek starego domostwa, tam się rozgada z pochyloną wieżą dzwonnicy; tam go zrozumieją rówienniki jego wiekowe—dęby szumiące nad drogą i dzwon wieczornéj modlitwy za umarłych...; zrozumie go nadewszystko wierna towarzyszka życia, co przy jego boku stąpała przez też same co i on ciernie i kwiaty; zrozumie go przywiązana małżonka, bo ona jest:

— Drugim bogiem domowym.

Na podolskich łanach ile kwiatów, tyle legend i dumek uszczknąć można.

Jedna z takich dumek, z takich legend nadobnych, co się z woni łąki i z pięknego tchnienia serca utworzyły, powiada:

Że na początku była chata, lecz nie było w niéj okienka; mężczyzna i kobieta mieli mieszkać w chacie, ale życie musiało tam być smutne i martwe w ciemności. Ani pracy, ani szczęścia być nie mogło, gdzie promień niebieski nie dochodził... więc niewiasta, chcąc złemu zaradzić, co rano wybiegała przed ganek nachwytać w lnianą szatę promieni słońca i światła dziennego, aby z nich zrobić zapas na całą dobę...

Tym sposobem codzień z wielkim trudem znosiła jasność do domu, aż się Bóg ulitował, i uderzeniem siekiery w drewnianą ścianę, wyrąbał w niéj okienko.

Czyliż z téj legendy nie rozwija się jak z kwiatu cała historja kobiety, żony — pani domu? Domostwo w żałobie po matce rodziny, nie jestże prawdziwą, ciemną chatą bez okienka? bo któż, jeśli nie ona, znosi pod strzechę jasność słoneczną w bieli szat swoich, w blasku swéj źrenicy, i w serca swego majestacie?

Jéj dusza, jéj uczucia, jéj wychowanie, jéj pojęcia są ubarwieniem całego wewnętrznego życia rodziny; jéj ukazanie się u ogniska domowego, jest jak wniesienie do ciemnej komnaty lampy, która wszystko w właściwem świetle, ładzie i stosunku ukazuje. W uśmiechu swoim, w łzach i modlitwie, niewiasta nosi całą tajemnicę uszczęśliwiania, całą tajemnicę godności familijnéj. Kiedy ona się modli, wszyscy milczą i składają ręce, bo to uroczysta chwila dla całego grona — to święta narada matki rodziny z Bogiem, to jéj gościna pod niebem, gdzie się wsłuchuje w Boskie przykazania — to pielgrzymka Mojżeszowa na szczyty Synai [1]) po kamienne tablice praw życia, aby je mogła przenieść do ogniska swego, i siłę ich jak błogosławione natchnienie, rozlewać na około siebie, pomiędzy swoich, w każdéj dziennéj sprawie.

Jéj łzy są nauką i przestrogą, są echem wielkich ciosów, albo tkliwych nadziei. Że łzami temi, rodzina uczy się cierpieć z ludzkością i z bliźnimi. Kiedy matka rodziny płacze, aniołowie skrzydłami przysłaniają oblicza; bo wówczas albo walą się wieże świątyń, albo prochy ojców poruszają — albo śmierć

[1]) Troja, było to miasto w starożytnéj Grecji. Przed 4000 lat, w czasie wojen domowych między Grekami, Troja była obleganą i zdobywaną aż przez lat 10, — gdy już oprzeć się zdobywcom niemożna było, oblężeni ratowali się opuszczając miasto, i wówczas to Eneasz wraz z penatami czyli bóstwami domowemi, uniósł i ojca swego.

[1]) Na szczycie góry Synai, Mojżesz otrzymał od Boga tablice z Dziesięciorgiem Przykazań, które to przykazania są po dziś dzień podstawą wiary, tak Chrześcijan jak i Mojżeszowych wyznawców.

wydziera życie drogiéj istocie, albo syn staje się wyrodnym. Biada wówczas, biada! gdyż z piersi macierzyńskiéj, winno płynąć samo błogosławieństwo, na trzeciego boga domowego, złożonego przez Stworzyciela między ojcem i matką, a którym jest:

— Dziecię!

Ojciec, matka i dziecię — oto trzy kolumny życia społeczeńskiego i rodzinnego. W nich jest niebo i ziemia, władza i uległość, przeszłość i przyszłość.

Rodzice wiążą społeczeństwo z Bogiem, gdyż od Boga władzę swoją dzierżą — dziecię wiąże społeczeństwo z ziemią, bo każe żyć dla wychowania następnych pokoleń. Rodzice łączą społeczeństwo z przeszłością, ukazując co w niéj czcią i miłością winno być otoczone; dziecię łączy społeczeństwo z przyszłością, też cześć i miłość na dalsze przenosząc wieki.

Przez rodziców i przez ojców przeszłość, sięgamy do źródła istnienia naszego — do Boga i do dziejów; dla tego też religja i historja, są najwyższymi naszymi mistrzami. One to — jako najstarsze bogi domowe, zasiadają pod nizką strzechą, prowadząc za sobą cały szereg cnót z nich wypływających, na pokłon dla niknących i wschodzących pokoleń. Obok nich to stąpają owe wszystkie bóstwa, stanowiące godność chrześcijanina i człowieka: cześć ojca i matki, cześć tradycji, poszanowanie dla dziecięcia, braterska zgoda, wytrwałość serc mężnych, praca walcząca z niedolą i ubóstwem, gościnność zawsze czuwająca u progu, miłość nauki tego duchowego światła, raz honor, do którego świątyni starożytni prowazili przez świątynię cnoty.

Pogańscy Grecy i Rzymianie, stawiali osobne przybytki i posągi męztwu, honorowi, dobroci, pracy i innym zaletom duszy ludzkiéj; w łonie chrześcijańskiéj rodziny, serce ojca i matki, dziecięcia i służebnych, ma być tą nieśmiertelną świątynią, w któréj wszystkie cnoty religijne i obywatelskie powinny znaleźć ołtarze, należne im, jako prawdziwym bogom domowym, stróżom nietykalności i posłannikom nadziei, u rodzinnego ogniska.

## Polowanie na wilki w Węgrzech.

Piękna i bogata kraina węgierska, zamieszkana w $^1/_4$ przez właściwych Węgrów, a w $^3/_4$ przez Słowian, odznacza się nadzwyczaj umiarkowanym klimatem, wielce sprzyjającym wszelkiej roślinności. Też same promienie słońca, które tak zbawiennie oddziaływają na wyrost i smak wszelkiego rodzaju owoców, wpływają również na budowę i na charakter ludu tę ziemię zamieszkującego.

Lud ten wyniosły i smukły, znamionuje też żywsza krew i ognista dusza. Czy na harcach, czy w boju, czy na łowach czy w tańcu, wszędzie on się wyróżnia i odwagą i zręcznością. Jego rodzinny taniec Czardasz, przedstawia nam się najfantastyczniéj ze znanych dotąd pląsów. Muzyka początkowo smętna melancholiczna, nagle rozbrzmniewa jakby szalonemi tonami, jakby obrazowała po długiéj ciszy, gwałtowną niespodziewaną burzę, a właściwie obrazuje ona rzeczywiste i wrodzone usposobienie tego narodu, który, więcéj ponury i milczący, za pierwszem wrażeniem uciechy czy gniewu, wybucha



Polowanie na wilki w Węgrzech,—(str. 68, szp. 2).—Wycięto w drzeworytni Halbergera w Sztutgardzie).

z całą gwałtownością, podobny do lawiny, która z martwego ruszona legowiska, burzy i druzgocze co się tylko nawinie, na drodze jéj straszliwego pochodu.

Lud ten między innemi wyszczególnia się również i odrębnym sposobem polowania, szczególniéj w bagnistych okolicach Dunaju i Cissy, zamieszkałych przez nieprzeliczone stada różnorodnego ptastwa wodnego i przez znaczne gromady wilków.



Huty Jaworzyny i Czerwony Wirch.
(Rysował Kozarski—wyciął na drzewie Stifi).

Wilki te, któreby bagniakami nazwać wypadało, widocznie różnią się od wilków przebywających w górach, bo nietylko że są cokolwiek mniejsze, że porost na głowie i grzbiecie znacznie mają ciemniejszy, ale jeszcze sama morda więcéj się zbliża do lisiéj. Są one nadto daleko śmielsze z winniejsze i szybsze od górskich; a co nadewszystko, że nietylko nocą wychodzą na zdobycz, ale i w jasny dzień, dla nasycenia jeźli nie głodu, to krwiożerczéj natury. Zdarza się bowiem często, że rozszarpanej i zadławionej owcy nie raczą nawet pokosztować, choć się nań długą znużyły zasadzką, czego wilk górski wcale nie czyni, szukając zdobyczy, tylko zakryty cieniem nocy i opuszczając tylko wtedy bezpieczne legowisko, gdy mu już gwałtowny głód dokuczy, i który tylko podczas wielkich śniegów i mrozów łącząc się w gromady, staje się niebezpieczny nawet ludziom.



Łomnica.—(Rysował Kozarski—wyciął na drzewie Stifi).

Juhasy, czyli pasterze węgierscy, są najzaciętszymi wrogami tego wilka, który znaczne wyrządza im szkody w stadach owiec, gdyż nie mogą się ustrzedz, ani zabezpieczyć przed jego niespodziewanym napadem.

Zwykle, gdy woda wzniesie się w Dunaju albo w Cissie nad zwyły jéj stan, wilcy którzy się kryją w zaroślach nadbrzeznych szuwarów i sitowiny, wynoszą się z bezpiecznych kryjówek i zgromadzają się w mniejszych zaroślach, na równinach położonych. Wtedy to Czykosy pasterze stad, znakomici i wsławieni jezdzcy, korzystając z przyjaznej okoliczności, urządzają polowania, wybierając się na nie konno i jedynie tylko z arkanami, to jest: z harapami albo biczami długiemi, na końcu zaopatrzonemi ołowianą kulką. Wprawa, jaką mają w użyciu téj broni jest godna zastanowienia, gdyż rzadko kiedy zawodzi ona Czykosa. W największym pędzie w pogoni za wilkiem, czy za stepowym dzikim koniem, które w podobny sposób chwytają, Czykos tak zręcznie zarzuca arkan na szyję swojéj ofiary, że prawie nigdy nie chybia. Konie używane do tego rodzaju łowów, oswajają pierwej przyzwyczajaniem do widoku wilka, przed którym czują zawsze jakowyś wstręt i obawę.

Jeżeli koń z natury pierzchliwy, nie łatwo sam się oswaja; radzą sobie Czykosy spiczastemi ostrogami, tak że najdzikszy koń pomiędzy muszkularnemi udami swojego jezdzca, staje się wreszcie powolnym i wedle jego kieruje się woli.

Skoro tylko wytropiono gdzie wilki, natychmiast dają znać Czykosom. Ci zbierają się bezwłocznie w jak największej liczbie i okolają wskazane miejsce, rozdzieleni na części. Równocześnie kilku pieszych udaje się w gąszcz sitowiny, i wypędza na równiny spłoszone wilki, które ucieczką ratować się zamierzają. Wypadłszy w całym pędzie z zarośli, lecz spostrzegłszy nagle jeźdców, wilcy starają się znów powrócić w sitowiny, aby się wycofać bezpiecznie, pod ich zasłonią. Czykosy jednak swiadomi ich chytrych wybiegów, jak najśpiesznićj zajmują się przecięciem odwrotu. Za chwilę więc powstaje straszliwa ogólna walka i pogoń. Rozproszeni łupiezcy, to w tę, to w ową stronę pędząc jak szaleni, starają się wydostać z niebezpiecznego koła. Jeźdzcy, każdy za swoim upatrzonym wilkiem, rozpuściwszy arkany i przechiliwszy się na koniach, pędzą, niezważając na rowy i rzeki. Koń i jeździec wydają się oczom, jakby jedna kula. Tentent kopyt, rżenie koni i świst rozpuszczonych arkanów, wtórzą sobie przeraźliwie zmięszaną harmoniją. Jeździec, koń i wilk, pędząc prawie tuż przy sobie, wytężają ostatnie siły, spoglądając oczami straszliwéj zawiści. Koń stulił uszy, wyciągnął szyję i już do stanowczego zabiera się skoku. Wilk wyprężony jak struna, zabłysnął kłami, jakby chciał odstraszyć jeźdzca i konia. Jeździec zmierzył okiem wilka po raz ostatni i stanowczy cios wymierza. Warknął wreszcie arkan i owił się jak wąż około szyi wilka. Lecz jeszcze chwilę, pędzą i koń i wilk i jeździec. Niedługo, zabraknie powietrza łupieżcy; wyskakuje kilkakrotnie w górę, jakby go chciał zaczerpnąć z wysoka. Skoki te nużą go jednak ostatecznie. Arkan wpija się bardziej w gardziel, i wreszcie pada zwierz, niezdolny wydać

nawet jęku żalu w ostatniej chwili śmierci. Czykos zwalnia wtedy bieg rumaka, lecz jeszcze nie popuszcza ofiary z uścisków arkanu, ale ją wlecze, dopóki nie dojrzy ostatniego śmiertelnego drgnienia; poczem wydaje dopiero okrzyk radości, który powtarzają dalekie echa, rozgłaszając pomyślny wypadek łowów.

To wielce ciekawe polowanie, obrazuje nam przedstawiona rycina; sam zaś przedmiot tyle wzniosłéj przyrody Węgierskiéj krainy, wywołał wiersz pełen uczucia, napisany przez jednego z młodzieży naszéj, który tu, jako bliższe uwydatnienie tego, co na początku powiedzieliśmy, w całości przytaczamy:

Jak słodki usmiech, witając pieszczotę,
Zrodzi na ustach wdzięk w zmarszczeniu lica;
Kiedy, jak anioł przecudna dziewica,
Gdy opowiada lubemu sny złote,
Zaczem opowie, powzdraga się trocha,
Trochę zawaha, choć wielbi i kocha;
Tak Cissa płynąc z Tatrów swéj macierzy.
Marszcząc swe wody, do Dunaju bieży.

Płyń sobie Cisso, Dunaj rad cię czeka,
Przepływaj kraj twój w pamiątki bogaty,
Odbijaj w wodach swych nadbrzeżne chaty,
Pamiątki dawne, gdzie przeszłość daleka;
Zabierz gałązkę z winnicy Tokaju,
Zanieś na ślubny wieniec dla młodzieńca
I wszystko splataj do jednego wieńca,
Co świętem, pięknem i bogatem w kraju;
A gdy porzucisz już strony barwiste
I zmącisz bagnem swoje wody czyste,
Wpłyniesz w kraj smutny, trzciną zarośnięty,
Bez ozdób z kwiatów, bez winnic ponęty,
I tam coś odbij, w swojéj modréj fali.
Tam śmiały Czykos uzbrojon w arkany,
Na rączym koniu, za wilkiem zagnany,
Przemknie się tobie, jako cień w oddali;
I śpiewak Boży, ptaszyna nieboga,
Powie ci, jaka twoja dalsza droga.

A teraz płyń już spokojna do celu,
Płyń już spokojna, wśród pamiątek wielu,
Tak, jako życie dziewicy urocze,
Gdy kwiaty wplata, w swe cudne warkocze;
Co jak ty zbierasz obrazy z nad brzega,
Zbiera je z życia, bo młodość ubiega,
Bo jasny promień, co serce rozpala,
Co tak jéj kochać i marzyć pozwala,
Może jéj zgasnąć, każe żyć wspomnieniem
Zgasłego szczęścia, pod smutnych chat cieniem:
Gdzie się rozlega jéj pieśń żałośliwa,
Jako szum Cissy: gdy mróz liść pozwiéwa.

Dziś może umilkł śpiew dziewicy czuły,
Gdyż smutne losy, jéj życie zatruły.
Cissa rzucona w Dunaju ramiona...
Dziewica z żalu po kochanku kona.

## PODRÓŻ w TATRY.

(*Ciąg dalszy.*—Patrz Nr. 3, 4, 5, 6 i 8).

### VI.

### WYCIECZKA NA GEWONT.

Wspomniałem już w trzecim ustępie o Gewoncie [1]), który niby czoło Tatrów wystąpił naprzód z rozszczepionym wirchem, po którym nie rzadko chodzą białe obłoki. Wielką miałem chęć stanąć na szczycie, na krańcu przepaści, oczy jak dwie jaskółki rzucić po okolicy i pohulać po obszernym widnokręgu. Kilkodniowa niepogoda zatrzymała mnie — niebo sposępniało, szare mgły tak zakryły góry, że przysiągłbyś, iż Tatry zapadły się gdzieś i znikły— tylko kończyny lasów przeglądały niewyraźnie. Aż piątego dnia pogodny ranek odczarował znowu zaklęcie — góry jak dawniéj majestatycznie piętrzyły się, na łąkach oblanych światłem słonecznem, wysychała rosa jak Twijdenowe ciało—z lasów podnosiły się białe mgły. Wszystko zapowiadało stałą pogodę. Następnego więc dnia wypadłem z rana w kierunku ku *Małéj Łące* (polana), zkąd najłatwiejszy i najpiękniejszy przystęp na Gewont. Mijając kościół, zobaczyłem ludzi schodzących ścieżką z Gubałówki, niby różnobarwny sznureczek zsuwający się po zielonym dywanie; doszedłszy do mostu spotkałem się z tymi ludźmi. Był to orszak pogrzebowy. Na wózku jednokonnym leżała trumna zbita w kształcie pudła z kilku desek, za trumną szły dzieci płacząc i znajomi zmarłego świątecznie ubrani. Wróciłem się i ja z nim ku kościołowi. Przed cmentarzem zatrzymał się orszak z trumną. Dwóch górali poszło po księdza, by trupa pokropił i pomodlił się nad nim. Potem trumienkę wsunięto do płytko wykopanego dołu, dzieci głośniéj zapłakały, znajomi rzucili po garści ziemi, przyklękli do pacierzy — i koniec. Tym trybem kończy się prawie wszędzie sprawa życia; ale inaczéj trochę nam się wyda, jeżeli podniesiemy zasłonę duszy i przyjrzymy się z bliska owemu spokojowi i rezygnacji, z jaką góral patrzy na śmierć i wyczekuje jéj. Rezygnacja ta jest wynikiem jego religijności i ubóstwa. Górale po większéj części są niezamożni — nędza, która ich u kołyski wita — na śmiertelnem łożu potrząsa jeszcze łachmanami; nawet zamożniejsi odmawiają sobie często najistotniejszych potrzeb, woląc uzbierany grosz schować lub dać kościołowi na ofiarę. Ztąd jasno się tłumaczy, że takie życie nędzne, biedne, niezbyt wabi i przyzwyczaja do siebie; z drugiéj strony religja opromienia mu dziwną jasnoscią życie pozagrobowe, pokazuje mu szczęście i roskosze, jakich tu nie znał; więc niedziw, że śmierć nie budzi w nim lęku. Podam tu dwa przykłady, na które własnemi oczami patrzałem; one więcéj powiedzą czytelnikowi, niż moje najdłuższe wywody.

Ojciec śmiertelnie chory leżał na łóżku, przy nim siedział strugając drzewka młody syn, starszy naprawiał kyrpce przed chatą. Stary po spowiedzi uspokojony usnął — syn z przed chaty wołał:

— Jędrek — pytaj tatusia kaj podział szydło!

Jędrek zbudził chorego, ale ten przypomnieć sobie nie mógł o szydle, gdzie je wbił. Po chwili Jędrek odzywa się z izby:

— Franek!

— Je [1]) co?

— Tatuś oho!

— Może umarł?

— A juści.

— A podział (powiedział) o szydle?

— Kaj ta.

— A o kimże trzysta myślał?

Przykład ten, lubo razi nasze delikatne uczucia, jest jednak dowodem wielkiego lekceważenia śmierci. Oprócz tego zwracam uwagę czytelnika na tre-

[1]) Gewont (Jäc—Wand) spadzista skała.

([2]) *Je* tyle co nasze *a* często na początku zdań używane.

ściwość powyższéj rozmowy dwóch braci. Treściwość i jędrność w wyrażeniu, jest także właściwością języka górskiego wynikłą z ich siedzib. Wśród gór, gdzie wichry częste przeciągają, rzeki z szumem spadają, przepaście dzielą często rozmawiających, a echa kłócą się z ich głosem, trzeba myśli zbierać w treściwe i głośne krzyki.

Drugi przykład do powyższego zapatrywania się górali na śmierć, miałem w Szaflarach. Kobieta z lamentem przybiegła do mnie prosząc o kawałek papieru, bo umierający mąż chce ostatnią wolę napisać, bo jak mówiła, chory ledwie do wieczora żyć będzie. — Za godzinę, wyszedłszy na przechadzkę, spotkałem tęż samą kobietę idącą z konewkami po wodę już zupełnie spokojną.

— Cóż, spytałem, waszemu się polepszyło?

— Kajta — paniczu, już gotów i wieczora nie czekał — i poszła daléj, jakby nic nie zaszło, zostawiając mnie w zdumieniu.

Te dwa przykłady wystarczą; a teraz porzucam cmentarz, trumnę i myśl o śmierci, i prowadzę czytelnika na Małą-Łąkę.

Jest to największa polana na całem Podhalu, leżąca w zakątku między Gewontem a *Czerwonym Wirchem*, szeroko ku północy rozwarta, a od południa ostrym klinem się kończąca. Bujna trawa przetkana kwiatami kołysze się na niéj — białe ścieżki krzyżując się ze sobą, prowadzą do dwóch szałasow na niéj stojących. Liptowskie psy przywitały nas głośnym szczekaniem, nie długo wyszła z szałasu góralka młoda z głośnem: witajcie! Potem spytała, czy się napijemy mleka i wyniosła nam pełną konewkę.

— A z daleka Bóg prowadzi?

— Z Zakopanego.

— A zkądeście?

— Od Krakowa.

— Śliczne to miasto, byłam ta na Matkę Boską Skaplerzną.

— I ty tu sama mieszkasz?

— Je, kaj ta — my tu ze strykiem mamy statek.

— I dużo owiec?

— My jeno krowy mamy, a owce mają w tamtym szałasie.

— I cóż robisz dzień cały?

— A koło nabiału — a stryk kosi trawę; suszymy i składamy tu, a kiedy przyjdzie zima, to na sankach zwozimy do wsi. Czasem się trafi, że jak przyjadą chłopcy po siano, śniegi zawalą drogi i muszą tu kilka dni zimować. A raz, mój Jezu złoty — śniegi szałas z ludźmi zasypały tak, że dwóch najmłodszych z głodu zmarło. Je gdzie wy idziecie?

— Na Gewont.

— Je po co? — spytała i rozśmiała się góralka.

— Napatrzyć się ztamtąd światu. A ty tam nie byłaś nigdy?

— Bo, co by nie. Ale wiecie drogę.

— Prosto w górę.

Rozśmiała się znowu.

— Poczekajcie, stryk wnet wróci z Czerwonego Wirchu, to was poprowadzi, bo nie trafilibyście dobrze.

Jeden z naszych towarzyszy nie uwierzył słowom góralki i przedsięwziął najkrótszą drogą wdrapać się na górę. Droga wydała mu się tak łatwą — za lasem kozodrzewina, potem trawa, potem załomy skał, po których łatwo się wdrapać. Tak rozumując pożegnał nas i poleciał. Reszta towarzystwa nauczona doświadczeniem poprzedniem, zatrzymała się na starego górala, który niezadługo nadszedł i poprowadził nas łożyskiem wyschłego potoku, po wielkich głazach okrężając Gewont. Góral to był stary, wysoki, żylasty, a nogami suwał w górę tak szybko, że nas zawstydzał, a dodać tu trzeba, że już dziś był raz na tym wirchu. Zdążyłem ku niemu i wdałem się z nim w rozmowę. Dowiedziałem się, że nie całe życie przesiedział w domu, służył bowiem w wojsku i zwiedził niemało świata.

— Ale, dodał w końcu, niema to jak u nas, człek kiedy wyjdzie na wirchy, to taki wolny, taki swobodny, tak o wszystkiem złem na świecie zapomni, jakby już wyraźnie zbliżył się do nieba. To też ja zawsze prosiłem Boga, by mi dał na Szaflarskim cmentarzu spoczynek. Szliśmy tak rozmawiając o ludzie góralskim, o jego życiu, — po drodze spotykaliśmy owce i juhasów, którzy nas głośnem hukaniem witali. Zmęczony bardzo chciałem odpocząć.

— Siądźmy trochę — rzekłem do górala.

— Trochę daléj, panoczku, za pagórkiem.

— A czemu?

— Bo jak nas tamci panowie nie będą widzieć, to się pospieszą.

Spodobała mi się ta przebiegłość górala, która się i w takich drobnostkach objawia. Nieraz miałem sposobność podziwiać ten lud z tego powodu. I tak, kiedy raz wypadło mi jechać z Lubnia do Krzyżowéj, góral skierował wózek z gościńca bitego na wązką starą drogę, którędy przejazd był wzbroniony.

— A czemu nie jedziesz gościńcem? — spytałem.

— Bo trzeba kołować, a tędy bliżéj, co mi po takiem gościńcu, co drogi przyczynia.

— Ależ tędy nie wolno.

— Nikt nie zobaczy.

Tymczasem inaczéj się stało, strażnicy zobaczyli, przyskoczyli i wózek zatrzymali. Trzeba było wtedy widzieć, jak ten dowcipny góral zrobił głupią minę. Najlepszy aktor pozazdrościłby mu téj gry rysów. Zdawało się, że ten człowiek trzech zliczyć nie umie. I tą głupkowatą miną rozbroił strażników, którzy złajawszy głupiego chłopa, co się do nowéj drogi przyzwyczaić nie umie, wolno go puścili. Tą miną nieraz górale zwiedli mieszkańców dolin, i złe o swoim rozumie dali im wyobrażenie. Towarzysze nasi zostali daleko za nami, zawołałem więc na nich głośno; jakże się zdziwiłem, gdy echo ośm razy powtórzyło moje słowa między skałami. Zawołałem drugi raz, a gdym się przekonał, że to nie złudzenie, wywoływałem najmilsze mi imiona i rzucałem je w załomy gór, radując się, gdy echa je niosły od skały do skały. Zdawało mi się, że głos mój zaleci aż do Krakowa i obije się o jéj okienko; ale cicho o tem.... Kiedy się całe towarzystwo połączyło, białe mgły wysunęły się z za gór i zsklepiły się nad naszemi głowami, a spuszczając się coraz niżéj, otoczyły nas zupełnie tak, że jeden drugiego o parę kroków nie mógł widzieć, a rozgrzane słońcem i zmęczeniem członki ochłodziły mgły. Zbliżyliśmy się więc do siebie, postępowaliśmy tuż za góralem, który nas zapewniał, że mgły nie długo przeminą. Dziwnego doznawałem uczucia, osłonięty takim mglistym kloszem, niby ryba wodą. Po upływie krótkiego przeciągu czasu uczułem ciepło na głowie, spojrzałem w górę, mgły rzedziały nad nami i słońce rzucało po nich złote promienie, jak po białéj kanwie. Nagle mgły rozpękły, rozleciały się po stronach i przed

naszemi oczami, roztoczył się śliczny rozległy krajobraz, niby narodzony z chaosu mgły, świeży jakby co dopiero wyszedł z rąk Stworzyciela. Staliśmy bowiem w rozpadlinie samego szczytu, niby w oknie, roskoszując się krajobrazem. O naszym towarzyszu ani słychu nie było.

Wielka to prawda, że człowiek nigdy na tem nieprzestaje co ma, ale więcéj pragnie, ale coraz wyżéj sięga. Po nad nami wzniosił się jeszcze stromy, ostrokręgowy cypel i ten mnie niepokił i na ten wleźć chciałem, a mimo odradzań górala i towarzyszy począłem się nań drapać. Z pomiędzy nagich kamieni wychylały genciany swoje szafirowe duże kielichy, miękie, aksamitne kwiatki srebnego koloru witały mnie z podziwem, białe strzępate gwoździki trzęsły się w powiewie wiatru, a *złote lilje* świeciły się jak gwiazdy. Pozrywałem kilka kwiatków na pamiątkę i usychające kwiaty mając za jedynych towarzyszy, stanąłem na cyplu dość wązkim. Silny chłodny wiatr przeciągał tak, że musiałem usiąść, aby się utrzymać i puściłem oko w około. Pierwszy raz zobaczyłem się na tych górach sam na sam z milczącą a wymowną naturą, sam jeden wśród tych bezmiernych przestrzeni. U nóg moich przepaść, o jakiéj Szekspir rozpowiada ślepemu Lirowi, daléj zakopańska równina, przepasana wodami Dunajca i jasną tasiemką gościńca, chaty i drzewa jak nizkie krzaczki, a daléj już nic tylko sine równiny nieprzejrzane. Próżno szukałem na tych równinach króla stworzeń, człowieka, za małym był, abym go dojrzał. Spojrzałem za siebie— szczyty: Kondratowéj, *Czerwonego Wirchu*, Pysznej, stały ponure, obwite w chmury i szumem wichrów rozmawiały ze sobą, mową niezrozumianą przez ludzi. Czasami mgły, jak muślinkowe zasłony, przeciągały i zasłaniały mi okolicę, poczem odsłaniała się moim oczom, znowu piękniejsza i świeższa.

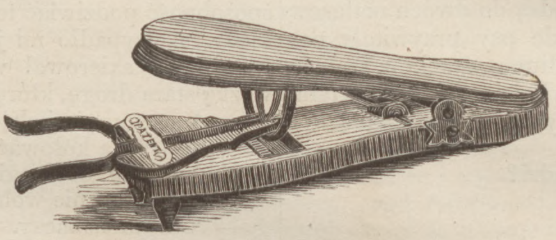
Pobawiwszy czas jakiś w téj wysokiéj pustyni spuściłem się do towarzyszów moich, i wspólnie z niemi schodziłem z góry, spuszczając się drugą stroną w dolinkę między Kondratową i Gewontem, ale że trawa wypalona słońcem, mocno obslizgła, radziliśmy sobie w sposób następujący: siedliśmy każdy na swoim kiju jak na koniu i, jeden koniec oparłszy o ziemię, a drugi mocno trzymając w rękach, wiosłowaliśmy nogami, a gdy jedna zbyt szybką się stawała i groziła zsunięciem się, wtedy trzeba było podnieść koniec kija, trzymany w ręku do góry, a lokomotywa stawała. W taki sposób bardzo szybko, lubo z wielkiem umęczeniem nóg, stanęliśmy na dole.

U żródeł Białego Dunajca zatrzymaliśmy się trochę. Żródło to tworzy kaskadę na dwadzieścia kilka stóp wysoką — u dołu spadku, jest z kamieni urządzona półkulista kanapa dla gości. Pokrzepieni zimną wodą źródlaną, zeszliśmy przez polanę *Kalatówkę* do Hamrów. Po prawéj stronie Kalatówki, wznosi się góra Goryczka, do któréj przywiązana jest powieść, o ojcu i dwóch synach.

W czasie ciężkiego przednowku, ojciec z dwoma niedorostkami wyszedł z wioski i przez góry chciał się dostać na węgierską stronę, na ciesiołkę. Ale na téj zaniemógł i umarł, a synowie napróżno trzęśli starym, chcąc go do życia przywrócić. Wróciły sieroty do wsi i dały znać ludziom, którzy poszli i starego tam pogrzebali. *(d. c. n.)*

## Mechaniczny zzuwacz do butów.

Zwykle używany dotąd zzuwacz, ponieważ nie chwyta należycie buta, ani trzewika, nie jest dogodnym i nie spełnia należycie swego przeznaczenia Przedstawiamy tu na rysunku narzędzie temu celow daleko lepiéj odpowiadające. Składa się ono z dwóch ruchomych deszczułek, z których wierzchnia, ku jednéj stronie więcéj pochylona, przymocowana jest u osi opierającéj się na panewkach, przytwierdzonych do deszczułki spodniéj. Spodnia deszczułka zaopatrzona jest nadto żelaznym przyrządem w kształcie wideł, które w miarę przyciśnienia nogą wierzchniej desczułki, zwężają się i chwytają silnie napiętek nogi drugiéj, pomiędzy ramiona widełek założoné. Mechanizm ten, jest zresztą tak pojedynczy i prosty że samo przedstawienie rysunku, czyni go dostępnym i zrozumiałym dla wszystkich. Powiemy tu więc tylko jeszcze, że zzuwacz ten inaczéj *chłopcem* zwany okazał się bardzo praktycznym, gdyż obuwie bez wysilenia i bardzo wygodnie ściąga; dlaczego, co raz powszechniéj zaczynają go używać w Niemczech.



Mechaniczny zzuwacz do butów.
(Rysował Kozarski—wyciął na drzewie L. H.).

## ROZMAITOŚCI.

— Zrozpoczętym postem i poważniejsze myśli przychodzą do głowy. W miejsce zabaw a może i powszedniejących już koncertów, Towarzystwo Dobroczynności na dochód ubogich ma zamiar urządzić odczyty popularno naukowe. Na odczytach tych ludzie nauki mają wykładać przedmioty z nauk przyrodzonych, z literatury i hygieny czyli nauki zachowania zdrowia a może i gospodarstwa narodowego, inaczéj ekonomji politycznej; niektórzy nawet proponują wykład budownictwa. Wszystko to jest bardzo piękne, daleko lepiej przepędzić godzinę lub dwie słuchając pożytecznych wiadomości, niźli bałamucić się gdzie po szynkowniach, knajpach lub jeszcze gorszych miejscach. Odczyty przyniosą słuchaczowi pożytek a biednemu wspomożenie; hulanka zniszczy zdrowie, wycieńczy kieszeń, spaczy charakter, oszpeci serce i kraj skrzywdzi. Żeby jednak odczyty dały korzyść licznej czeladzi rzemieślniczej, majstrom lub subjektom, potrzeba koniecznie *najprzód* żeby urządzone były w święta, a w dni powszednie od godziny 8 z wieczora; *powtóre* żeby opłata była o ile możności najtańsza po gr. 15 od osoby. Rozumie się nie za pierwsze miejsca lecz za ostatnie np. za galeryę, jeżeli odczyty będą miały miejsce w salach resursowych. Jeżeli warunki te na uwagę nie zostaną wzięte odczyty będą tylko modną rozrywką dla klas zamożnych, a ludzie mniej dostatni a potrzebujący nauki, ani wiedzieć nawet nie będą czy istnieją jakie naukowe odczyty.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Dnia 17 Lutego (1 Marca) 1865 r.